PRAWO LUDU

TYGODNIK ILUSTROWANY.

ORGAN POLSKIEJ PARTYI SOCYALNO-DEMOKRATYCZNEJ · WYCHODZI W KAŻDY PIĄTEK.

Nr. 29. Kraków, 22 lipca 1910 r. Rok XIII.

Wydawca i redaktor: Zygmunt Klemensiewicz. Prenumerata wynosi rocznie: W Galicyi 4 kor.; w Niemczech 5 M; w Ameryce 2 dolary. Numer pojedynczy 10 hal.
Adres: „Prawo Ludu“, Kraków, ulica Zwierzyniecka 10. Konto pocztowej Kasy Oszczędności Nr. 71.905.

„Jednajcie nowych czytelników — by rosła siła na stańczyków“.

OBCHÓD GRUNWALDZKI W KRAKOWIE.



Czoło pochodu Polskiej Partyi Socyalno-Demokratycznej z posłami tow. Daszyńskim i Hudecem na czele.

Zdawna przygotowywany obchód 500-letniej rocznicy zwycięstwa Polski nad Zakonem krzyżackim wypadł wspaniale. Jakie ten obchód ma znaczenie dla klasy robotniczej i dlaczego robotnicy w tych uroczystościach czynny biorą udział, powiedział znakomicie w swej mowie na Rynku krakowskim poseł tow. Daszyński — do tej też mowy odsyłamy towarzyszów i prosimy, aby ją pilnie i uważnie odczytali.

Ze swej strony zaznaczamy, że jednakże nie musi być tak „wielkim grzechem“, jak to podają klerykali, walka z zakonami, a nawet całkowite wytępienie zakonu, jeżeli Kościół za zupełne wytępienie zakonu krzyżackiego, założonego przecież przez papieży, nie tylko króla Jagiełłę nie wyklął — ale dziś po 500 latach biskupi odprawiają msze dziękczynne za to wspaniałe zwycięstwo! Pokazuje się więc, że to nie był żaden grzech, ale rzecz dobra — tylko trzeba ją teraz robić gruntownie, jak to zrobił dawniej Jagiełło pod Grunwaldem!

Uroczystości rozpoczęły się odsłonięciem pomnika Jagiełły, który wykonał rzeźbiarz Wiwulski. Koszta pomniku pokrył w całości znakomity muzyk polski Ignacy Paderewski. Pomnik na ogół wypadł doskonale, dzieło to przynosi prawdziwy zaszczyt swemu twórcy. Opiszemy go bliżej w następnym numerze, gdy podamy fotografię całego pomnika i figur bocznych.

Poza ćwiczeniami towarzystwa gimnastycznego „Sokół“, który równocześnie urządził swój V Zlot — jednym z głównych punktów programu był pochód na Wawel celem złożenia wieńców na grobach Jagiełły i Jadwigi. Pochód ten, w którym brało udział około 25 tysięcy ludzi wypadł doskonale — tembardziej, że wzięła w nim udział Partya nasza. Na wezwanie Komitetu wykonawczego stawiło się co najmniej 4 tysiące towarzyszów, którzy w czwórkach uszeregowani szli ze sztandarami rozwiniętymi, śpiewając: „Czerwony sztandar“, „Warszawiankę“, „Jeszcze Polska nie zginęła“ i inne pieśni.

W pochodzie — między innemi — wzięła udział gremialny organizacya kobiet, oraz organizacya kolejarzy, która przybyła ze Sącza z własną orkiestrą! Socyalistyczny pochód, witany wszędzie oklaskami i zasypywany kwiatami przeszedł Wawelski zamek przy dźwiękach „Czerwonego sztandaru“ i „Jeszcze Polska nie zginęła“ — dążąc na Rynek, gdzie z przygotowanej trybuny przemówił do zebranych tłumów poseł Daszyński.

Mowa posła tow. Daszyńskiego.

Na prastarym Rynku krakowskim — witam Was! Choć nie włodarze, ani gospodarze tego miasta, z ulicy jego my wyrośli i z bruku, tuśmy się rojnie zebrali, rzuciwszy wczoraj narzędzia pracy, otarłszy znój z czoła i umywszy ręce. Chcemy święcić grunwaldzkie zwycięstwo.

Przyszliśmy tu z własnej, dobrej woli, z rozeznaniem jasnem w duszy, że nas tu braknąć nie było powinno, że my tu potrzebni.

Nie znęciła nas na to święto skoczna muzyka, nie oślepiły barwne sztandary, nie ujął nieświadomych poryw patryotyczny, nie zwabił żaden słomiany ogień!... **I nie sludzy my królów, ni magnatów**, nie czerń to szukająca jadła i zabawy u progów bogaczów, **ale jedyna dziś w Polsce opozycya społeczna**, organizacya świadomej swoich olbrzymich zadań klasy pracującej, **jedyna to armia co żywi i broni.**

Przyszliśmy złożyć hołd zwycięzcom z pod Grunwaldu, bo i nasza dola tam się przed 5 wiekami na krwawej losów szali ważyła, bo wiemy, że tam dyszał bój za istnienie całego naszego narodu.

A wspominając zwycięskiego króla i jego wodza Zyndrama z Maszkowic i szlachtę, Oleśnickiego czy Zawiszę — nie zapominamy i o najbliższych: o tej piechocie chłopskiej, o świętych praojcach naszych, co gęsto, jak snopy zaścielały trupami swoimi grunwaldzkie pobojowisko.

Ich to berdysze i topory pracowite siekły i rąbały drapieżnych mnichów, rabusiów krzyżowych pod Grunwaldem, ich to krew — a nie jeno szlachecka — strugami za całość państwa polskiego płynęła.

Polegli i posnęli w ziemi, nie przeczuwając, że ich prawnuków zakuje szlachta w dyby pańszczyźniane, że stoczą się prawnuki łanowej piechoty na dno piekła społecznego, że nie miną cztery chłopskie pokolenia, a chłop

polski będzie do gleby przykutym niewolnikiem.

A przecież ich to krwawym znojem wojennym utrzymano, w siłę wzmożono państwo polskie, w którem miały się utworzyć, jak wszędzie w Europie dwie klasy: wolnej szlachty i niewolnych, poddanych chłopów.

Nie mądrą jest rzeczą swarzyć się z historyą wieków minionych, straszną i ciężką: szarpać stare rany, choćby krew z nich płynąca miała za nami świadczyć.

Ale w tych dniach świątecznych nie mówiono niemal wcale o tem, o czem milczeć nie można — mówić potrzeba!

Mówiono tutaj w Krakowie o wadach i błędach polskich, zalecano z wad tych się leczyć, wskazywano na rany, ale nikt tym tysiącom, tym tłumom polskim z całego świata zebranym, nie wskazał zła, nie zohydził błędu, nie ujął ich jak brat za rękę, aby pójść drogą w lepszą przyszłość.

Może chciano nam cierpień oszczędzić, może serc krwawić nie chciano... **A może lękano się srogiego oblicza prawdy, która wypowiedziana, a potem odczuta, zdruzgotać gotowa cały dzisiejszy ład i porządek w Polsce.**

Ten ład i ten porządek, pod którym państwo polskie rozerwane w strzępy, pod którym w Prusach ziemię z pod stóp chłopa polskiego wyrywają, dzieciom polskim po polsku modlić się nie dają, robotnikom polskim mówić po polsku nie pozwalają.

Ład i porządek, który w zaborze rosyjskim zagnał na Sybir, zakuł w kajdany najlepszych Polaków — polskich robotników — a z rzekomych wodzów, co zostali na wolności, porobił carskich błaznów, neoslawistów i śmiesznych dyplomatów upodlenia naszego.

Czy może ład i porządek zaboru austryackiego, zaboru, gdzie z kraju chłop przed głodem ucieka, gdzie starannie hodują chamstwo w duszach ludzkich, aby z nich zrobić rodzaj banderyi, gotowej na zawołanie!...

Spokoju w Polsce zmącić tu, w Krakowie, nie chciano, jak gdyby naród nasz nie miał na sobie kajdan potrójnych obcych państwowości, jak gdyby nie musiał walczyć o każdą piędź ziemi, o każdy okruch prawa, o każde wolniejsze słowo!

A ja wam mówię, że gdzie polski tłum się zbierze — nawet na kościelnych dziedzińcach — tam wrogowie wietrzą niepokój i bunt.

Lepiej o nas sądzą, niż my sami! Bo nam tutaj radzą spokój i jeszcze raz spokój i modły do Pana zastępów.

Czy spokój zbawia?

W XVIII wieku spokój nas zgubił i zhańbił. Gdy Kościuszko poprowadził garść chłopów krakowskich do walki o odzyskanie niepodległości — „spokój“ panował wśród szlachty... I doprowadził ten „spokój“ do tego, że nie rozwiązano kwestyi pańszczyzny, pozostawiając rozwiązanie jej wrogowi... Dzięki „spokojowi“ utraciliśmy własną państwowość.

A właśnie święcimy Grunwald, którego znaczenie historyczne streszcza się w obronie państwa polskiego przed zagładą. Kwestya bytu państwowego obchodzi klasę robotniczą. I nasze nędze w znacznej części płyną z braku jedności, wolności i niepodległości narodowej. I polskiemu robotnikowi potrzebny jest pancerz własnej państwowości, jaki mają narody zachodniej Europy. Dążymy więc do wyzwolenia narodowego. Nie sny to, nie czcze mary romantyki rewolucyjnej, ale konieczny proces historyczny! Tylko niepodległość narodowa stanowi drogę do zbratania, do solidarności wszystkich ludów!

U nas pole bitwy zawalone gruzami niewoli, u nas robotnicy tracą ogromną moc swoją na walkę o wpływ na obce państwo. U nas ludzie się bić muszą o język w szkole, o tłumacza w urzędzie, o możliwość życia! Walki tej prowadzić nie umie zwyrodniała burżuazya polska. Zrodzona w niewoli, zarażana przez wiek cały przez tradycye najgorsze z czasów upadku szlachty, oparta o miasta względnie nieliczne — próbowała w roku 1863 walki, później utonęła w polityce dnia, jako miejska demokracya, tracąc niebacznie wszelką przewodnią gwiazdę na drodze swojego wyższego interesu klasowego.

Tłuczona febrą szowinizmu, demokracya mieszczańska schodzi coraz częściej na manowce i — występuje przeciw klasie robotniczej na polu polityki narodowej, przez co popełnia błąd historyczny, który jej samej wszelką siłę odbiera.

Ale robotnik i chłop nie daje za wygraną.

Odrodzenie Śląska Górnego i Śląska austryackiego, rewolucya w Królestwie, rok 1905 w Galicyi — to wszystko wskazuje, że masa narodu idzie swoim torem, że gotują się w milionach ludu nowe dążenia, nowe siły, które kiedyś wystąpią na arenę dziejową, aby zrównać nas z narodami Europy zachodniej, aby nam z członków zerwać kajdany, a z czoła zmyć hańbę niewoli.

Oto dlaczego wzięliśmy udział w pochodzie grunwaldzkim.

Może ani jeden z nas tu zebranych nie wejdzie do ziemi obiecanej, do Polski zjednoczonej, niepodległej, Polski ludowładczej i szczęśliwej, może nas od niej dzielą otchłanie ofiar, morza łez naszych i strugi krwi naszej, to wiemy jednak, że spokojem i pokorą do niej nigdy nie wejdziemy.

Oto dlaczego nie wzywam was do spokoju i modłów, lecz zważywszy na wielkie nauki i doświadczenia dziejów ludzkich, dziejów narodów podbitych, chciałbym serce każdego z Was uczynić dzwonem, który nietylko oddaje cześć zmarłym, lecz przedewszystkiem żywych do życia by wołał i wroga pioruny przełamał!

Następnie odczytał tow. Daszyński następujący telegram z Berlina:

„Z niewoli babilonu krzyżackiego znękani cierpiący pod brzemieniem hakaty, łączymy się myślą i duchem z rodakami, zebranymi na wiekopomną rocznicę zwycięstwa polskiego nad chytrą chciwością krzyżactwa, w prastarej stolicy kultury i u źródła duchowego narodu polskiego, w naszym Krakowie, dzieląc z wami radość z wspomnień świetności narodu naszego — niezłomni w wierze, iż nasze cierpienia, iż nasza niewola już długo trwać nie może — wołamy do was rodacy: otuchy! jedności! wszechstronnej oświaty mas ludowych! a dojdziemy

---

Z tygodnia.

Jeżeli kupię sobie konia lub wołu, to mogę nim orać, wozić, mogę go nawet bić, ale ten koń lub wół nie będzie mi wdzięcznym za to, bo czasem nawet poczęstuje mnie kopytem lub rogami. Nie dlatego, że nie ma rozumu, (swoją drogą ma go nieraz więcej niż niejeden człowiek), ale dlatego, że prócz psa nie leży to w naturze żadnego bydlęcia. — Pan Biliński kupił sobie pana Stapińskiego za 2 miliony, a tem samem może go używać, jako lokaja, jako swego służącego do czyszczenia butów, bo to jego własność. Ale jeżeli pan Jan prócz zwykłych lokajskich usług, świadczonych panu Bilińskiemu, jako swemu chlebodawcy, jeszcze publicznie dobrowolnie chwali go i wyraża mu swoje najpełniejsze zaufanie, to okazuje się, że gorszym jest od konia lub wołu. No — ale jeżeli papież może sprzedawać odpust zupełny za 300 franków, może i pan Jan sprzedać siebie za większą trochę sumę, bo za 2 miliony, i chwalić pana Bilińskiego. Wolność Tomku... a zresztą, co tu dużo gadać! On w ten sposób pracuje dla „dobra ludu“ (tyle razy zapomniał o tem, i przysięgał na to), podobnie jak stary oszust polityczny pater Stojałowski, łupiąc chłopów na lampę jerozolimską i na oliwę do niej, pracował dla „dobra“ tych chłopów i „na większą cześć i chwałę Boga“.

Jest wszelkie prawdopodobieństwo, że pater Stojała, wypompowawszy należycie nowych swych braci wszechpolaczków, poda wreszcie bratnią dłoń Jasiowi i wypije z nim „bruderszaft“. Piękne i bratnie dusze znaleść się muszą.

Pan Stapiński, wstępując i wprowadzając swoich mameluków do koła polskiego, wiedział, dlaczego to robi. Wiedział, że w kole polskiem, zgniłem i cuchnącem, jego świństwa (pardon za wyrażenie!), mniej będą śmierdzieć, a przynajmniej nie będą tak bardzo zwracać na siebie publicznej uwagi. I po części miał racyę — trzeba mu to przyznać. Bo i z czegoż się składa to sławetne koło, zwane polskiem? Kogo w nim widzimy? Albo oszustów, albo karyerowiczów, a prywata, a interes osobisty, zwany (ha! ha! ha!) pracą dla dobra kraju, i na wskroś je przesiąkły. Prawdę powiedział swego czasu tow. Misiołek, że koło polskie to kupa, która, gdy ją kopnąć, rozleci się i śmierdzi. Wprawdzie tamto koło było czysto szlacheckiem, ale i to nie jest lepszem, ba! nawet może gorszem, chociaż jest „demokratycznem“ (Oj! oj!).

Nie darmo zasiadają w nim tacy Stohandle, Stojałowscy, Dobije, Krupy, Stapińscy i t. p. filary moralności publicznej.

Swoją drogą panowie ci mogą się pocieszyć. Nie oni jedni tacy. Jak się okazuje, taka sama zgnilizna panuje i u wiedeńskich chrześcijańsko-socyalnych. A że „od głowy ryba śmierdzi“, więc tak tu, jak i tam pierwsi przywódcy nieszczęsnego ludu śmierdzą, aż nosem kręci. Okazuje się, że taki „poseł“ Bielohlavek, ów osławiony błazen Bielohlavek, taki pan „poseł“ Aksman, taka ekscelencya Gesman, toż to geszefciarze najczystszej wody, nie gorsi od naszego pana Jana. Od czegóżby zresztą nosili markę „chrześcijańskich“? Nic więc nie będzie dziwnego, że się wnet rozlecą, pozostawiając po sobie wielkie „Pfe“!.

Dziwić się więc nie należy, że takim posłom-geszefciarzom, zajętym tylko własnymi interesami, ani w... głowie interesy kraju, interesy ludu pracującego. A jeżeli czasem nasrożą się wobec rządu, to tylko „na jury“, — jak to mówią, — to tylko dla zawrócenia głowy nieszczęśliwym wyborcom. Rząd sobie z tego bynajmniej nic nie robi. Co to był n. p. za hałas o budowę kanałów! Koło polskie zagroziło opozycyą, owo cuchnące koło! Narady, konferencye, groźby — dyabeł wie, co wie, a koniec z tego? Jedno wielkie nie. Baron Bienerth śmiał się w kułak z tej komedyi, bo komedyą nie czem innem, było owe „tam — tam“ koła polskiego, aż wreszcie znudzony tem do reszty, wysłał panów posłów do domu. Idźcie bydlątka moje na wakacye, teraz trochę za gorąco, źle to działa na wasze mózgi, a przyjdziecie w jesieni, gdy zimno, a może i mróz ochłodzi waszą gorączkę. Wtedy będziemy gadać dalej. Tak zapewne mówił sobie pan Bienerth. I czy nie miał racyi? Ależ największą, najzupełniejszą miał racyę. Pod jesień wrócą nasi panowie, nad błękitny Dunaj cisi, potulni, jak barankowie i będą radzić dalej nad własnymi geszeftami — pardon nad dobrem kraju.

do Grunwaldu przyszłości! niech żyje postęp! niech żyje oświata ludowa! precz z najazdem! niech żyje wolna niepodległa Polska!

Towarzystwo socyalistów polskich w Berlinie. — Klub dyskusyjny im. Jarosława Dąbrowskiego w Riksdorfie. — Koło śpiewaków „Wolny duch“ w Berlinie“.

Hucznymi oklaskami przyjęli zgromadzeni ten telegram, poczem zakończyła się o godzinie 3¼ manifestacya okrzykiem na cześć socyalnej demokracyi.

Skonfiskowano!

Ile dni w roku pracujemy.

P. J. Dmochowski w Stowarz. Kupców Polskich wygłosił odczyt na temat: „Ile dni w roku pracujemy i co na tem tracimy?“ Prelegent w swym referacie podaje, iż u nas przeciętna ilość dni roboczych wynosi 287. Pracodawca jednak przyjmuje za normę tylko 260 dni, jak to uczynił w prawie z r. 1897 o wynagrodzeniu robotników za nieszczęśliwe wypadki. Tymczasem prawo niemieckie za normę przyjmuje 300 dni roboczych. Z danych statystycznych wynika, że długość pracy rocznej wynosi: w Anglii — 2.880 godzin, w Stanach Zjednoczonych — 2.964, w Niemczech — 3000, w Królestwie Polskiem — 3.032, w Rosyi — 3.034, we Francyi — 3.045, w Japonii — aż 4.020 godzin. Z danych tych zdawaćby się mogło, że Królestwo Polskie pod względem rocznej długości pracy zajmuje stosunkowo nie najgorsze miejsce. Jeżeli jednak weźmiemy pod uwagę jeden z najważniejszych czynników pracy, a mianowicie jej wydajność, to okaże się, że stosunek długości pracy w zależności od zdolności wytwórczej ludności wyrażać się będzie w ten sposób: Fraocya — 100, Niemcy — 89, a Rosya tylko 87.

To też, zdaniem prelegenta, racyonalny dzień roboczy należałoby przekształcić u nas w ten sposób, aby zmniejszyć ilość godzin pracy dziennie, a jednocześnie zredukować ilość dni świątecznych.

Odpowiadając na drugie pytanie, pomieszczone w tytule odczytu, prelegent stwierdza, że, wobec tego, iż roczna produkcya Królestwa Polskiego w ciągu 280 dni wynosi 1.400 mil. rb., Królestwo Polskie traci rocznie 115 mil. rb., gdyż musi obchodzić zbytecznych 23 dni świątecznych.

Ksiądz proboszcz — wolna miłość — i fałszywa przysięga!

W Monachium odbyła się tymi dniami rozprawa karna przed sądem przysięgłych, której tłem był psychologicznie ciekawy dramat miłosny klechy z ubogą dziewczyną. Proces ten wzbudził w całym świecie olbrzymią ciekawość i zainteresowanie, rzucił bowiem bardzo wiele światła na moralność klechów, osłaniających swe zbrodnicze uczynki kapłańską sukienką i powagą wiary.

Na ławie oskarżonych zasiadła młoda i przystojna szwaczka Marya Trautsch z Kolbermoor, która przed dwoma laty urodziła w Monachium dziecko. Jako ojca tego dziecka podała oskarżona wówczas nieznanego z miejsca pobytu fotografa, nazwiskiem Loeben. Rzeczywistym jednakże ojcem dziecka Maryi Trautsch był nie Loeben, ale proboszcz Eugeniusz Scheuer, który przed kilku tygodniami uważał za rzecz dla siebie najwygodniejszą uciec do Ameryki.

Proces ten wzbudził tak olbrzymie zainteresowanie temi charakterystycznemi okolicznościami, które skłoniły Maryę Trautsch do złożenia fałszywej przysięgi w obronie proboszcza Scheuera. Scheuer mianowicie skłonił swoją kochankę Trautschównę do krzywoprzysięstwa. Sprawa ta przedstawia się następująco.

O stosunkach miłosnych proboszcza Scheuera z Trautschówną dowiedziało się całe miasto. Zaczęto się na proboszcza głośno oburzać. Proboszcz Scheuer poczuł się dotkniętym, obraził się i kilka zgorszonych swych owieczek zaskarżył o obrazę honoru.

Wpływ księdza Scheuera na Trautschównę był tak wielki, że złożyła ona na tej rozprawie o obrazę czci fałszywą przysięgę, iż z proboszczem Scheuerem nie utrzymywała nigdy żadnych stosunków. Na podstawie tej przysięgi,



Dno jaru na polach Grunwaldu, pokryte kośćmi poległych w bitwie pod Grunwaldem.
(Zdjęcie fotograficzne zrobione w maju roku 1910).

sąd przyjął skargę za usprawiedliwioną i oskarżonych zasądził. Jednakże ten wyrok nikogo o niewinności księdza Scheuera nie przekonał, o ojcowstwie proboszcza zaczęto po rozprawie jeszcze głośniej mówić.

Wówczas to zrozumiał nasz księżulek, że jego sprawki miłosne zaczynają mu być nie na rękę, że może się cały ten dramat źle skończyć. Postarał się zatem o urlop i natychmiast umknął do Ameryki, pozostawiając swoją kochankę z dzieckiem na łasce losu.

Na obecnej rozprawie opowiedziała Trautschówne szczerze, jak to się wszystko stało. Interesującem jest, w jaki sposób proboszcz Scheuer wytłumaczył matce swego dziecka, że musi złożyć fałszywą przysięgę. Oto ten miły księżulek przekonał ją, że tą przysięgą „przysłuży się religii“, a wobec tego obowiązku nie powinna zważać na prawo, bo prawo wobec Boga niema znaczenia.

Na pytanie przewodniczącego trybunału, skierowane do Treutschówny, dla czego przed sądem mimo przysięgi skłamała, oskarżona odpowiedziała: „Obawiałam się proboszcza. Zeznania złożyłam pod jego wpływem i za jego namową. Na rozprawie tak się we mnie wpatrywał, że nie miałam siły, aby powiedzieć prawdę“.

Ze względu na ten fascynujący wpływ proboszcza Scheuera na oskarżoną, na smutne położenie nieszczęśliwej ofiary klerykalnego draba, sąd za krzywoprzysięstwo skazał Maryę Trautschównę na ośm miesięcy więzienia.

Ośm miesięcy więzienia wydało się sądowi karą łagodną. I to także jest dla tego procesu bardzo charakterystyczne...

KRONIKA.

— **Za 8-godzinną szychtą górników naftowych** demonstrują robotnicy borysławscy. Dzielnem swem wystąpieniem znieśli dwie choroby — wąglika świńskiego i kołtuństwo starościńskie i odbyli potężne zgromadzenie w Borysławiu 3 bm., na którem referowali pos. tow. Moraczewski i Wityk. Również na 10 bm. było zwołane zgromadzenie. Robotnicy naftowi wzmacniają też swą organizacyę zawodową, wstępując do niej gromadnie, gdy walka zapowiada się ciężka, a musi się skończyć zwycięstwem robotników.

— **Bestyalstwo kamieniczników**. Ani rząd, ani kraj, ani gmina nie zrobiły nic, aby uchylić straszną drożyznę mieszkań. Wniosek pos. Grossa i tow. Reumana w sprawie utworzenia funduszu mieszkaniowego z powodu odroczenia Rady państwa został udaremniony. Tymczasem drożyzna mieszkań święci tryumfy. I tak na ul. Grzegórzeckiej na gościńcu obozuje od kilku dni na zimnie i deszczu rodzina robotnika Kmiecika, z trzema dziećmi, z których najmłodsze ma 8 miesięcy. Rodzina ta została wyrzucona na bruk przez kamienicznika Włodarczyka, agenta policyi. Policya zawiadamiającego ją o tem towarzysza odesłała do Magistratu. Przecież p. Leo, pobierający 18 tysięcy rocznej pensyi i mieszkanie w pałacu, tem się nie będzie zajmował. Kiedy wyczerpie się cierpliwość robotnicza?

— **Co znaczy organizacya** świadczy świeżo zawarta umowa zbiorowa robotników w browarach wiedeńskich. Czas pracy ograniczono na 8½ godziny dziennie. Ro-

botnicy pracujący przynajmniej rok otrzymują w razie 14-dniowych ćwiczeń wojskowych swej płacy. Robotnicy pracujący 3 lata otrzymują 5-dniowy, po 5 latach pracy 7-dniowy płatny urlop, 1 maja jest wolny i płatny. Umowa ta stawia tamtejszych robotników co do zdobyczy w pierwsze szeregi robotników całej Europy. A cóż u nas w Galicyi? W browarze okocimskim dzień pracy wynosi 11 godzin, gdyż więcej według ustawy przemysłowej wynosić nie może! Czas najwyższy, aby i nasi robotnicy stanęli w szeregach organizacyi, gdyż tylko w ten sposób można wywalczyć polepszenie warunków pracy.

— **Czterdziestolecie „nieomylności" papieża** przypada 18 b. m. Dogmat „nieomylności" papieża ogłoszono 18 lipca 1870 r. na soborze watykańskim w Rzymie. Za „nieomylnością głosowało 533, przeciw 2, protest wniosło 55. Papież jest „nieomylny", gdy w uroczysty sposób określa naukę dotyczącą wiary i obyczajów. Dogmat ten wywołał protesty i wielu uczonych teologów go nie uznało i zawiązało sektę „starokatolików", do której przyłączyli się obecnie „maryawici" z Królestwa polskiego. Dogmat jest to „prawda", którą każdy katolik pod rygorem utraty zbawienia wyznawać musi; dogmat więc jest wyłącznym atrybutem religii. Nauka zaś nie zna dogmatów tj. „prawd stałych i niezmiennych; nawet „pewniki naukowe", nauka odrzuca, o ile okażą się ze stanem nauki niezgodne. I tak przez całe wieki sądzono, iż słońce koło ziemi się obraca, aż dopiero w XV wieku uczony polski Kopernik udowodnił, iż ziemia koło słońca się obraca; zwolennicy jego byli prześladowani przez Kościół i paleni na stosach, który uznał dopiero wtedy tę prawdę, gdy zdobyła wszystkie umysły. Z punktu więc widzenia naukowego dogmaty nie istnieją. Nauka a religia są to rzeczy przeciwne.

— **W walce z klerykalizmem** dzielnie kroczy rząd hiszpański, rząd kraju, który ongi był siedliskiem najskrajniejszej inkwizycyi papieskiej. Mimo sprzeciwu papieża, który w XX wieku nie chce uznać wolności wyznań, rząd, prócz wprowadzenia wolności wyznań, zamierza znieść cały szereg klasztorów. Trza bowiem wiedzieć, iż Hiszpania jest wprost pokryta siecią klasztorów. Pędzili bowiem zakonników z Francyi — szli oni do Hiszpanii, pędzili zakonników z Filipin — maszerowali do Hiszpanii — jednem słowem, Hiszpania jest schroniskiem zakonników, którzy pod płaszczykiem filantropii prowadzą całe fabryki. Rząd popiera ludność, która urządza ogromne demonstracye przeciw klerykalizmowi. Największą demonstracyę urządzili liberali, republikani i socyaliści w Madrycie, stolicy Hiszpanii; liczny udział wzięły w niej kobiety. Walka zakończy się niezawodnie klęską klerykalizmu.

— **Handel ludźmi.** Bardzo ciekawe przypomnienie zamieściły w tych dniach „Birż. Wied." Oto podały one ze starych dzienników rosyjskich z przed 100 lat kilka ówczesnych ogłoszeń.

„Na ulicy Siennej, naprzeciw trzeciego przejazdu, osoba, mieszkająca nad traktyernią sprzedaje dwudziestoletniego człowieka, kawalera, umiejącego czytać, golić, czesać włosy męskie i usługiwać jako kamerdyner; żąda za niego 600 rb. Tamże sprzedaje się bryczkę na resorach i dużą fajkę piankową".

Inne ogłoszenia brzmią: „Sprzedaje się 14-letnią dziewczynkę, umiejącą szyć i haftować". — „Sprzedaje się rodzinę, złożoną z męża, żony i 13-letniej córki". — „Sprzedaje się nasiona lucerny i dziewczynkę z Inflant od 13 do 14 lat". — „Chcę sprzedać człowieka w średnim wieku"...

Warto przytem zaznaczyć, że handel ludźmi kwitnął w Rosyi nietylko przed stu laty, ale nawet jeszcze przed pół wiekiem.

— **Klerykalny wyzysk.** W rozmaitych tyrolskich pismach rozszerzanych szczególnie wśród chłopów, można czytać obecnie następujące ogłoszenie:

Ze sławnego miejsca odpustowego Lourdes nadeszła właśnie nowa przesyłka

Wody z Lourdes!

Do nabycia w wielkich flaszkach po 2 korony przez handel dewocyonaliami Trautnera w Insbrucku, ulica Farna.

Rozumie się samo przez się, że ta woda nie ma żadnej wartości. Mógłby ktoś mu zarzucić, że ogłoszenie tego nie twierdzi. Tak, ogłoszenie tego nie twierdzi, ale w podobnych klerykalnych pismach opisane są przeróżne historye o cudownem działaniu wody z Lourdes. Prasa ta umieszcza co do tego nowe ilustracye. Niedawno można było widzieć w klerykalnych pismach ilustracye, przedstawiające chorych i kulawych, którzy po pokropieniu ich wodą z Lourdes na miejscu ozdrowieli. Poza nimi leży niezliczona ilość kul, należących do rzekomo cudownie uzdrowionych. W ten sposób przygotowuje się owieczki do strzyżenia. Klecha na wsi wymyśli prócz tego jakąś cudowną bajeczkę, a potem „W Imię Boże!" „Tylko" 2 korony, któżby nie chciał ponieść tego wydatku, aby się wyleczyć ze swej choroby lub ułomności. Za pomocą tej spekulacyi na głupotę kradnie się z kieszeni nieuświadomionego ludu rocznie setki tysięcy, które nikną w wiecznie głodnym żołądku kościoła rzymskiego. „Szarlatanów", leczących chorych dobrymi i złymi środkami, zamyka się, ale przeciw tym łupieżcom ludu nie wystąpił jeszcze żaden sędzia.

Miał racyę poeta niemiecki Lenau, gdy mówił:

Klecha umie modłami, śpiewami, kadzidłem
Przywabiać tłumy do swej panoramy
I mówić im obłudnie, z uśmiechem obrzydłym:
Ach, patrzcie! Tu jest niebo, a tam piekła bramy.
A gdy tłum ogłupiały przez barwne okienka
Spogląda na to wszystko w strachu i zachwycie,
Wtedy klecha jak złodziej — znana to piosenka —
Wypróżnia mu kieszenie, okrada go skrycie.

— **Cudowna żebranina.** Od dłuższego czasu zbiera ks. Jan Trzopiński proboszcz w Kochawinie datki w gotówce i w „biżuteryach" od wiernych (może łatwowiernych! P. z.) parafian, celem doprowadzenia do skutku „upragnionej przez wszystkich czcicieli Maryi" koronacyi cudownego obrazu w tamtejszym kościele. Datki płyną — jak widać — bardzo hojnie, bo w ostatniej odezwie ogłasza ks. Trzopiński, iż „ma już oprawnych 10 tomów list składkowych", ale wszystko to jeszcze mało do dokonania tak zbożnego dzieła, które według jego zapewnień, „nam i Ojczyźnie drogiej wyjedna najprędzej miłosierdzie, błogosławieństwo i rozerwanie więzów niewoli!"...

Nie mamy wcale zamiaru wpływać na obniżenie ofiarności dla tak wzniosłego celu, tylko nam dziwno, czemu ks. Trzopiński taką żmudną acz cudowną żebraniną odwłóczy w nieskończoność ziszczenia dzieła, będącego „gorącem pragnieniem wszystkich czcicieli Maryi!" Przecież całemu niemal krajowi, a przedewszystkiem parafianom kochawińskim wiadomo, że „Matuchna najświętsza" w ciągu dwudziestu kilku lat przysporzyła ks. Trzopińskiemu krociowy majątek, tak iż dziś kupuje dobra, lasy, parceluje majątki, wydzierżawia grunta i t. d. Mógłby więc bodaj z wdzięczności za ten „cud" własnym kosztem sprawić Pannie Maryi koronę złotą, a nie wydzierać najuboższym ludziom ostatniego grosza, w pocie czoła zapracowanego. Zasługa jego wówczas byłaby niepomiernie większa, a błogosławieństwa boskiego nie potrzebowałby dzielić z setkami ofiarodawców „oprawionych w 10 grubych tomów!"

— **Walka na noże w koszarach wojskowych w Przemyślu.** W tych dniach przyszło podczas gry w karty do zażartej walki na noże między pewnym szeregowcem 5-ej a szeregowcem 10-ej kompanii 10 pułku piechoty w koszarach przy ul. Słowackiego. Bójka skończyła się wcale przykro dla szeregowca Zimmera, który odniósł głęboką ranę nożem z ręki Dudyka w podudzie. Zimmera, który był kiedyś wychowankiem wojskowej szkoły kadeckiej, przewieziono do szpitala garnizowego.

— **Moralność mnichów rosyjskich.** Z Moskwy donoszą: Ojcu Tochonowi, przełożonemu klasztoru nowoskaskiego, podsunięto truciznę w napoju. I byłby w męczarniach wyzionął ducha, gdyby lekarzom nie udało się z wielkim trudem uratować go od śmierci. Dochodzenia wykazały, że to sami mnisi nasypali mu trucizny do napoju. Ojciec Tochon był zbyt surowy na punkcie reguły zakonnej, wobec czego mnisi sprzysięgli się na jego życie.

W uroczystość grunwaldzką.

W bagnie gwałtu zrodzony krwawy pruski gad
Splotami wężowymi oplótł polski lud
I sącząc w jego serce swój cuchnący jad
Pragnie krwią jego ciepłą zaspokoić głód.

Zatopiwszy mu w duszę swe krzyżackie kły
Przeszczepia w jego ciało swój gnijący wrzód,
Sądząc, że się wypełnią jego podłe sny,
Że na śmierć zdoła zdusić biedny polski lud.

Lecz próżne są wysiłki krzyżackiego gadu!
Zdusić ludu polskiego nie potrafi wcale!
Prędzej jego potęga przeminie bez śladu,
Niż się spełnią te jego pragnienia szakale.

Dzika pruska hyena w głupocie swej nie wie,
Że lud polski, to olbrzym straszny swą potęgą,
Że pod bluzą roboczą, pod chłopską siermięgą,
Ogniem kiedyś wybuchnie tlące się zarzewie.

Chachar.

Organizacya kobiet P. P. S. D.

Zakaz pracy nocnej kobiet w Austryi. Przez przystąpienie swe do konwencyi berneńskiej z dnia 16 września 1906 r., której przedmiotem było usunięcie pracy nocnej kobiet, rząd austryacki został zmuszony wnieść odpowiednią ustawę, którąby położyła wyraźny zakaz zatrudnienia kobiet w nocy. Wedle wspomnianej powyżej konwencyi, zakaz ten miał być wprowadzony najpóźniej do dnia 1 stycznia 1911 r. W Austryi istniał wprawdzie dotąd w ustawie przemysłowej przepis, zakazujący pracy nocnej kobiet, zakaz ten dotyczył jednak wyłącznie tylko kobiet, zatrudnionych w przedsiębiorstwach fabrycznych, a ponadto odnośna ustawa pozwalała ministerstwu handlu na cały szereg wyjątków i uchwalenie tego zakazu. Głównym postępem w nowej ustawie jest to właśnie, że obecnie ministerstwo nie ma już prawa dopuszczenia wyjątków, a dalej, że zakaz pracy kobiet w nocy rozciągnięty został na wszystkie zakłady, które zajmują się przemysłowo wytworzeniem przedmiotów użytku lub obrabianiem materyałów, łącznie z budownictwem, o ile zakłady te zatrudniają więcej niż 10 osób. Przez to zakaz pracy nocnej kobiet rozciągnięty zo-

stał i na pewną część przemysłu próbnego. Również ustawa ta dotyczy przemysłów niepodlegających ustawie przemysłowej, a więc całej produkcyi górniczej i hutniczej, kamieniołomów i t. d. Niestety, zawsze jeszcze ustawa dopuszcza możność obejścia zakazu, i tak naprzykład, przy robotach około materyałów ulegających psuciu, o ile robót tych nie można odłożyć, może czas spoczynku kobiet w pewnych warunkach przełożonym zostać po 8 wieczorem.

Zakaz pracy nocnej, któryby przeszkodził, by robotnice przemysłowe po ukończeniu pracy nie brały robót do domu, nie jest w ustawie przewidziany. Podobny zakaz, wedle ustawodawców za bardzo ograniczyłby „wolność i swobodę rozporządzenia sobą“ robotnic. Również i w rolnictwie praca nocna nie uległa żadnemu ograniczeniu. Jakkolwiek więc zawsze do zupełnego zakazu pracy nocnej kobiet w Austryi wiele jeszcze brakuje, to zawsze przecież należy uważać obecną ustawę za pewien postęp. Zawstydzającem jest jednak, że Austrya musiała dopiero przez międzynarową konwencyę zostać zmuszoną do przyjścia z tą ustawą, że wniosła ją ostatnia ze wszystkich państw.

Organizacya kobiet P. P. S. D. powinna rozwinąć w tej sprawie agitacyę, i dążyć do tego, aby usunąć wszystkie usterki projektu, a zrobić go ustawą prawdziwie robotniczą.

Organizacya robotników rolnych.

— **Ostrzeżenie przed emigracyą do Brazylii.** Namiestnictwo galicyjskie ogłasza ostrzeżenie przed emigracyą do Brazylii. Emigracya do Brazylii stale wzrasta, mimo iż od kryzysu w 1908 r. panuje tam brak pracy i ogromna drożyzna. Doszło nawet do tego, iż austryaccy emigranci stanu S. Paulo zmuszeni byli wrócić do ojczyzny, narażając się na ogromne straty. To też należy się wstrzymać bezwarunkowo od emigracyi do Brazylii.

— **Ustawodawstwo emigracyjne w Austryi** prawie że nie istnieje. Sprawy emigracyjne, kilkakrotnie poruszane w parlamencie szczególnie przez posła tow. Daszyńskiego, nie doczekały się dotychczas baczniejszej opieki ze strony rządu austryackiego. A unormowanie tych spraw ustawowo jest naglące. Szczególnie zupełne usunięcie oszustów emigracyjnych (między którymi są posłowie ks. Szponder, Szajer, Skołyszewski) oraz organizacya biur pośrednictwa pracy jest sprawą bardzo ważną. Dalej badanie stosunków w krajach, do których kieruje się nasza emigracya, oraz obrona ze strony konsulatów austryackich naszych emigrantów również powinna być energicznie prowadzoną. W sprawach tych, tak ważnych dla naszego kraju, milczą zupełnie posłowie ludowcowi. Tak się zaprzęgli do jarzma szlacheckiego, iż o tem ani wspomną. Gdy w najbliższym czasie zbierą się Delegacye, posłowie socyalistyczni poruszą bezprawia, popełniane na naszych emigrantach za granicą.

— **W sprawach emigracyjnych** należy się zwracać do Polskiego Towarzystwa Emigracyjnego, Kraków, Kolejowa 3.

— **Żniwa** są w całej pełni i zapowiadają się bardzo dobrze, co zauważyć można na zniżce cen zboża. Żniwiarze i żniwiarki wydają trój pot (troisty pot od zginania się, pracy i upału), jak pięknie mówi poeta Szymonowicz z XVII wieku w „Żeńcach“, aby tylko napchać kieszenie braci szlacheckiej. Płace żniwiarzy w okolicy większych miast są dość dobre, ale po wsiach wschodnio-galicyjskich to płacą nawet nie pieniądzmi, ale snopkami. Płace te nie pozostają w żadnym stosunku do wzrostu cen zboża w ostatnich latach. Dadzą się one podnieść jedynie przez organizacyę żniwiarzy, jak to się dzieje na Węgrzech. Ładne żniwiarki są narażone na nagabywanie ze strony młodzi szlacheckiej, która tłumnie zjechała na wakacye. Księża zaś proboszczowie targują się z żniwiarzami, mówiąc, iż nie pracują oni dla księdza, ale dla Boga! Wszystkie te przeżytki należy usunąć przez organizowanie się.

— **Robotnice polne** znajdują się obecnie w prawdziwym ukropie pracy. Przeważnie na nich ciążą żniwa, które przecież są pracą bardzo ciężką. Myśl ich zajęta jest dziećmi, które zostawiły w domu bez opieki. Mimo bowiem milionowych strat ponoszonych corocznie przez pożary, wywołane właśnie przez zostawione w domu dzieci, szlacheckie rządy nie zrobiły nic, aby temu zapobiedz. Czy nie możnaby w każdej wsi stworzyć ochronkę dla dzieci, gdzie pod dozorem nauczycielki przebywałyby bezpiecznie, nie narażone na wypadki i pożary. Cóż, kiedy sejm szlachecki wydaje pieniądze na żandarmów i katechetów, mimo iż żaden kraj austryacki nie płaci ani halerza za naukę religii, gdyż udzielają jej za darmo. Gdy sejm wydrzemy z rąk szlacheckich, a gminy ze szponów klik starościńskich, zamiast karczem, gdzie sprzedaje się szlachecką wódkę zatruwającą całe pokolenia, staną ochronki dla dzieci, skąd wychodzić będzie zdrowa i silna młodzież. Wszyscy musimy jednak stanąć do szeregu.



Robotniczy Klub sportowy: I. Drużyna footballowa.

ORGANIZACYA ROBOTNIKÓW MAGAZYNOWYCH.

Z doli robotniczej. Od czasów, gdy robotnicy pracujący w magazynach prowiantowych przekonali się, iż tylko wyłącznie przez jednolitą organizacyę mogą zdobyć polepszenie bytu — różnego kalibru urzędniczkom magazynowym bardzo się nosy wydłużyły! Dawne, dobre bowiem czasy minęły dla nich bezpowrotnie! Dawniej można było tego robotnika wyrzucić na bruk, choćby i 20 lat pracował w magazynach, i zdrowie tam stracił, można było naciągać na różne podarunki i obrywki; Dziś to wszystko minęło! Dziś już ani jaj, ani masełka świeżego nie obliże jeden i drugi urzędniczek, ani serka białego nie zakąsi po wódeczce, który biedny zastraszony robotnik kornie przynosił. Dziś nie można już orać tym robotnikiem jak koniem albo wołem i przez obiad kazać mu pracować, albo i w firmie do 8 wieczorem. Robotnik był wtedy głupi, wyzyskiwany i ciemny, jak tabaka w rogu — ale z tem było doskonale urzędniczkom magazynowym. To też od zjazdu z dnia 30 czerwca 1909 roku, gdy postanowiono domagać się 8 godz. dnia pracy i minimum 4 kor. starają się ci panicze wszelkiemi siłami rozbić całą organizacyę. Gdy organizacya wysłała 5 marca deputacyę do Ministeryum wojny, wówczas generalna intendantura przyobiecała tej że deputacyi poprawę bytu robotników magazynowych. Ale z czasem poczęli kręcić wszyscy, i gdy druga deputacya, prowadzona, jak i za pierwszym razem, przez posłów tow. Forstnera i Dr. Liebermanna udała się do ministeryum — wymawiali się urzędnicy, że robotnik magazynowy lepiej zarabia aniżeli my!

A czynili to na podstawie wywodów, przeprowadzonych między najgorzej zarabiającymi robotnikami! Niedość tego krętactwa. Ponieważ organizacya rośnie więc np. w Gródku, opowiada jakiś zupak, że podwyżki dla tego nie dostali, bo należy do organizacyi! Ponadto prześladują urzędnicy w różny soposób robotników, szerząc kłamliwe baśnie i głupie opowieści, aby tylko odstraszyć robotników od organizacyi, bo ona o ile pomogła robotnikom, o tyle szkodę urzędniczkom przynosi.

Ale te zamachy na nic się nie zdadzą. Bieda nauczyła nas cierpliwości, to też zaczekamy do zebrania się wspólnych delegacyi, a w tedy potańcujemy z paniczami z intendantury! Tylko towarzysze, nie tracić czasu i brać się porządnie do organizacyi, aby na jesień stanęła potężna i wielka ta nasza obronicielka organizacya robotników magazynowych.

Na kresach Galicyi.

Bystra. Jakie jednostki reprezentują nieraz bezpieczeństwo publiczne, tego dowodzi wypadek, który się zdarzył w Bystrej. Marya Kubanda nabyła tutaj od pensyonowanego wachmistrza żandarmeryi, Jana Świergula, realność; przy umowie złożyła zadatek, resztę ceny kupna miała zapłacić przy podpisaniu

kontraktu. Ponieważ jednak sprzedawcy nie spieszyło się z kontraktem, więc kobieta zmuszona była wnieść przeciw niemu skargę i, naturalnie, proces wygrała. Pomysłowy ekszandarm wpadł na myśl, że pomimo przegrania procesu może jeszcze coś zyskać, a przytem równocześnie wywrzeć zemstę. Dom był zaasekurowany, a on jako właściciel hipoteczny, miał do niego jeszcze prawa. Postanowił go więc podpalić, licząc na to, że premia asekuracyjna zostanie jemu wypłacona, a kobieta przynajmniej co do budynku z wygranego procesu nie będzie miała korzyści.

W nocy z czwartku na piątek postanowił plan swój wykonać; przyniósł z sobą grube, kilkometrowe powrósło słomiane, napuszczone smołą, wspiął się na dach i zaczął je tamże rozkładać. Aby jednakże smoła nie zawiodła, przyniósł także około 4 litrów nafty i zaczął ją po dachu rozlewać. Na szczęście spali na strychu ludzie i ci, poczuwszy zapach nafty oraz stukanie na dachu, wybiegli zobaczyć, co się stało. Ekszandarm, znalazłszy się w nieprzewidzianem położeniu, zaczął uciekać, został jednak poznany.

Wskutek doniesienia został obrońca ładu przymknięty w sądzie pow. w Białej za zbrodnię usiłowanego podpalenia.

Księża używają już listonoszów za kolporterów.

Pisarzowice. Nie mówiliśmy o kolportowaniu przez księży ich głupich pisemek tak długo, dopóki handel ten odbywał się na plebanii lub w kuchni księżych gospodyń. Kiedy jednak zaczynają do tego używać ludzi, którzy mają do spełniania inne funkcye urzędowe, musimy przeciw temu zaprotestować.

Takiego łatwego środka chwycił się ksiądz w Pisarzowicach. Widząc, że po księżą „Prawdę“ nie chcą ludzie przychodzić na plebanię, nie mówiąc już o tem, że nie chcą jej nawet czytać, powierzył kolportarz tejże listonoszowi wiejskiemu, Janowi J., ponieważ temu łatwiej „po drodze“ wcisnąć się z nią do każdej chaty. I pan listonosz roznosi dzisiaj z nakazu „władzy“ kościelnej ogłupiającą „Prawdę“, natomiast na listy muszą interesowane osoby czekać nieraz po 2 tygodnie, aż listonoszowi „przy sposobności“ zechce się je doręczyć i za to mają adresaci płacić od listu po 4 hal., a od kartek po 1 hal.

A może pan Jan woli kolportować „Prawdę“ i pucować księdzu buty, to my w takim razie postaramy się o innego listonosza. „Dwom panom służyć niepodobna“ — powiada pismo święte.

Pisarzowianie.

To i owo.

Wódka! Słowo takie same, jak każde inne. Nie piękniejsze, ani nie brzydsze od słów: ziemia, olej, smarowidło. A przecież strach jakiś ogarnia nas na dźwięk tego słowa, bo wymawiając je, wymieniamy pociechę i truciznę tysięcy i milionów. Małe są klucze od największych niebezpieczeństw i z niepozorną na oko bronią czai się wróg zdrowia i życia ludzkiego. Kilka kieliszków płynu niewinnego na pozór, czasem pięknie kolorowego — a oto woda płynie w górę, gwiazdy na niebie chwieją się, jak kwiaty na łodyżkach, chata nędzarza napełnia się bogactwami niezmiernemi, a sam nędzarz, leżąc nieraz w błocie ulicznem, czuje się królem i władcą tego świata. Na chwilę tylko. Bo potem przychodzi przebudzenie i rzeczywistość, zimna, okropna, bezlitośna. I w sennej tęsknocie myśli taki nie szczęśliwiec o tych kilku chwilach, przyjemnych i rozkosznych, więc też przy pierwszej sposobności chwyta drżącymi palcami za kieliszek, aby pić, a upiwszy się przeżyć znowu te niewidziane w szarem, codziennem życiu cuda. I to właśnie jest właściwą przyczyną pijaństwa, tego przekleństwa ludzkości.

Biedak, dźwigający na plecach swoich, jak juczne bydlę, ciężary lub schylony w ciemnej izdebce nad krew pijącą pracą, nie zna innego życia, piękniejszego i szczęśliwszego, nie zna jego zagadnień, celów i ideałów, lecz zna ten cuchnący, ognisty napój, który choć na chwilę pozwala mu zaglądnąć w krainę szczęścia i piękna. Pije, choć tam, w tym kształtnym kieliszku widzi śmierć, zwyczajną śmierć — kostuchę, zęby do niego szczerzącą. On czuje ją dobrze, tu w swoich piersiach grających, jak organy; czuje ją w wysychającym mózgu, w przeżartych wnętrznościach, czuje ją w każdej cząsteczce ciała swego. A przecież pije. Nie odczuwa nędzy swojej własnej i swojej rodziny, nie odczuwa hańby z nocy spędzonej w rynsztoku, zatraca świadomość złego i dobrego — ach! bo tam, z tamtej strony rozumu i rozsądku, z tamtej strony człowieczeństwa widzi inny świat, inne życie pełne nieznanych złud. Oto jest tragedya życia tych, którzy w jarzmie życia codziennego nie znają nic innego prócz nędzy i głodu. I na cóż się przydadzą wszelkie wzniosłe nauki o celu człowieka, cóż pomogą wszystkie tyrady o szkodliwości wódki, jeżeli to stworzenie zwane szumnie człowiekiem, żyć musi gorzej, o! nieraz stokroć razy gorzej, jak bydlę?

Mimowoli przychodzi na myśl pytanie, dlaczego to nie wydają żadne skutki owe misye klerykalne, urządzane po wsiach. Dzieje się to dlatego, ponieważ księża, wprowadzając w to Boga, religię, grzech, sami wyzyskują chłopa i robotnika niemiłosiernie, a tem samem każą mu żyć w głodzie i nędzy. Dla głodnego żołądka nie istnieje Bóg, nie istnieje religia i grzech. Nie słowami, kazaniami, pustymi frazesami zapobiegnie się złemu i wyciągnie się tych nieszczęśliwych z błota! Dajcie im chleb, dajcie im ludzkie warunki życia, uczyńcie to marne ich życie znośnem, pięknem, przyjemnem — a wtedy sami z obrzydzeniem odwrócą się od trującego alkoholu.

Socyalna demokracya pierwsza najlepiej to pojęła i zrozumiała, dlatego też na sztandarze swoim wypisała przed innymi hasło: **Chleba dla głodnych!** I nie prędzej zniknie z powierzchni ziemi pijaństwo, a co za tem idzie zbrodnia i nędza, dopóki światem nie zawładnie socyalna demokracya.

Co czytać?

Encyklopedya Ludowa. Kraków. Nakładem Tow. wyd. „Encyklopedyi Ludowej“. Zygmunt Heryng. Co da Encyklopedya ludowa robotnikom i włościanom. Dr. Zofia Daszyńska-Golińska. Z czego powstaje pijaństwo i jak z nim walczyć. S. Turczynowicz. Jak osuszać zamokre i jak nawadniać zasuche grunty. K. Bujwidowa. Czy kobieta powinna mieć te same prawa, co mężczyzna? W. Nałkowski. Geografia ogólna. Dr. Stanisław Krauz. O budowie i czynnościach ciała ludzkiego. K. Wróblewski. Rolnictwo. S. Boguszewski. Ogólne zasady hodowli.

Broszury te stanowią część składową wydawnictwa „Encyklopedyi Ludowej“, podjętego w Krakowie pod redakcyą Z. Heryngа. O planie tego wydawnictwa i zadaniach, które ono sobie stawi, pisaliśmy już, omawiając broszurę wstępną do Encyklopedyi p. t. „Jaką winna być Encyklopedya Ludowa“ (patrz „Wiedza“ r. 1908 t. II. str. 218). Zapowiedź wydania Encyklopedyi obudziła w swoim czasie zainteresowanie szerokich sfer, zwłaszcza robotniczych, które bezwątpienia z radością się dowiedzą, że pożyteczne to i na szeroką miarę zakrojone przedsięwzięcie weszło w fazę urzeczywistnienia. Układ wydawnictwa, gdy ono do końca doprowadzone zostanie, uczyni z niego nieocenione źródło wszechstronnej i nadzwyczaj udostępnionej informacyi. Każda broszura jest zaopatrzona w indeks, czyli słowniczek wyjaśniający, alfabetycznie ułożony, w którym wszystkie ważniejsze wyrazy, w danej broszurce spotykane, znajdują krótkie, ale dokładne wyjaśnienie. Po ukończeniu całego dzieła, ma być wydany ogólny indeks, który korzystanie z Encyklopedyi niezmiernie ułatwi. Pozostaje wyrazić życzenie, żeby ukazywanie się dalszych broszur postępowało w szybkim tempie.

Dr. Bolesław Limanowski. Stanisław Worcell. Życiorys. Spółka nakładowa „Książka“. Kraków.

Nowe to dzieło znakomitego socyologa i historyka polskiego odtwarza na szerokiem tle historycznem wspaniałą postać jednego z najwybitniejszych przedstawicieli polskiego ruchu patryotycznego i polskiej emigracyi, a zarazem jednego z pierwszych Polaków, który przejął się zasadami socyalizmu i je głosił — Stanisława Worcella. Książka p. Limanowskiego stanowi nader cenny przyczynek do historyi naszej myśli społecznej i politycznej i naszych ruchów politycznych, i zasługuje na obszerniejsze omówienie, coteż postaramy się uczynić.

Zmysł czucia.

(Ciąg dalszy).

Zwierzę dla rozszerzenia skali wrażeń zmysłu czucia nic nie uczyniło. U niego jest on tylko spełnieniem prawa natury: mnóżcie się. W oznaczonych porach roku zwierzęta uczuwają żądzę płciową, nasycają tę żądzę, która po zapłodnieniu ustaje, a resztę czasu poświęcają wychowaniu potomstwa — czyli utrzymują gatunek, oto wszystko.

Człowiek rozszerzył skalę swych wrażeń płciowych nierównie potężniej od zwierzęcia, ale uczynił to w ten sposób, że zrobił z rozkoszy tego zmysłu jedna wielką, potworną zbrodnię.

Myślałam często: Dlaczego tak jest? dlaczego miłość, która jest przecie najwyższem szczęściem, stała się źródłem strasznych cierpień ludzkości, haniebnych bezprawi, nieobliczalnych krzywd. Wszak każde zjawisko musi mieć przyczynę, więc dlaczego to się tak stało?

Ażeby to pojąć, musimy choć najogólniej zdać sobie sprawę z rozwoju stosunków seksualnych ludzkości, od początku jej bytu, o ile to mogła zbadać nauka.

Otóż w czasach najdawniejszych, gdy ludzie, a raczej zwierzoludy rozproszeni byli zrzadka po puszczach niedostępnych, żyli oni według wszelkiego prawdopodobieństwa tak, jak zwierzęta, to jest w monogamii czasowej lub trwałej. Nie była to monogamia sztuczna, wytworzona przez ograniczenia religijne czy prawne, bo ani prawa, ani religie nie istniały jeszcze, lecz monogamia naturalna, spowodowana małą ilością ludzi na świecie. Stosunki seksualne (płciowe) owych czasów były więc jak u zwierząt prostem rozmnażaniem się, pociągającem zawsze wychowanie potomstwa przez rodziców; i rozkosz płciową odczuwał człowiek tylko o tyle, o ile ją odczuwają zwierzęta. Ten okres naturalnej monogamii nazywają stanem pół-zwierzęcym.

Tu muszę wspomnieć parę słów o powstaniu religii, bo to jest koniecznem do zrozumienia późniejszego rozwoju i ustalenia stosunków seksualnych także.

Człowiek, bezbronny wówczas zupełnie, prawie najsłabszy ze zwierząt, był jak dzię-

cko nieświadome, rzucone na łono przyrody. Trwożyło go wszystko: bał się zwierząt drapieżnych, bo go napadały, bał się burz i piorunów, bo wzniecały ogień, który go parzył za zbliżeniem, a czasem palił lasy całe i setki ludzi w nich żyjących itd.

Potężne siły, które go otaczały, uważał za panów i władców świata całego i siebie — stąd pierwsze pojęcie o bogach, strasznych i niszczących naturalnie, a bojąc się tych potęg, błagać je zaczął, by nie pcstwiły się nad nim, bo pokonać ich nie miał siły. Stąd pierwsze religie, które były początkowo zawsze tylko błaganiem o litość złowrogich sił przyrody.

Czasem zdarzało się, że po czyichś gorących modłach burza ucichała, lub zwierz przeleciał, nie wyrządziwszy szkody itp. Wtedy ludzie myśleli, że ubłagali niszczące bóstwo, a człowieka, który tego dokazał zaczęli uważać za istotę, mającą łaski u bogów i czcią otaczać. Stąd wytworzyli się czarownicy-wieszczbiarze, z których rozwinął się potem stan kapłański. Przez przeciwieństwo do złych potęg ludzie odczuwali także dary potęg dobroczynnych. Słońce ich ogrzewało, księżyc oświecał ich noce, wiosna odżywiała rośliny. Te potęgi byli to więc władcy świata, ale dobrotliwi, którym składano ofiary, jako podziękę, także naturalnie przez ręce owych czarowników, umiejących oddalać złe bóstwa; a jako takich zaczęli się z czasem radzić i chorzy. Tu leżą początki znachorstwa, które wydoskonaliło się potem w sztukę lekarską i dla tego dawniej była ona związana zawsze ze stanem kapłańskim, co przetrwało bardzo długo. Znaczenie tych ludzi wskutek tego rosło ogromnie.

Wieki upływały.

Ludzkość rozmnażała się coraz bardziej i tworzyły się coraz liczniejsze gromady, żyjące razem. Takie współżycie gromadzkie dawało czarownikom-znachorom sposobność coraz częstszą wykonywania leków. Wprawa ich w leczeniu wzrastała, a wskutek tego wzrastała niezmiernie i powaga ich także. Z czasem zaczęli się wyodrębniać w osobną kastę ludzi, otoczoną powszechnym szacunkiem: w kastę kapłańską.

To gromadzkie współżycie miało dla ludzi jeszcze jedno, bardzo ważne następstwo: umożliwiło zbliżenie płciowe wielu jednostek, co zbudziło w duszy ludzkiej uczucie dotąd nieznane, a które się stało potem podstawową przyczyną olbrzymiego rozwoju cywilizacyi, lecz także haniebnych krzywd i bezprawi, zbudziło: pragnienie zwiększenia rozkoszy zmysłów.

Człowiek poznał, że zmiana przedmiotu pożądania zwiększa rozkosz, zaczął więc zmieniać go często i pierwotna monogamia przeobrażać się zaczęła w okres bezładnych stosunków płciowych, czyli w nieograniczoną poligamię. W końcu wszyscy mężczyźni oraz wszystkie kobiety danej gromady posiadali się wzajemnie bez żadnych ograniczeń nawet pomiędzy rodzicami a dziećmi, lub braćmi i siostrami. Potomstwo swoje wychowywała każda matka przy pomocy mężczyzn całej gromady, którzy przez polowanie zdobywali żywność dla wspólnych żon i dzieci. To było wówczas „moralnością“, a raczej stanem naturalnym. Innych pojęć nie znano. Okres nieograniczonej poligamii zwą: stanem dzikości. Okres ten jednak trwał stosunkowo nie długo, bo ludzie zrobili pewne spostrzeżenie, niesłychanie doniosłe w skutkach, oto, że potomstwo blizkich krewnych jest nędzniejsze od ludzi niespokrewnionych. Zauważywszy to, zaczęli tworzyć ograniczenia i zakazy w łączeniu się płciowem krewnych, tymi zaś, którzy mimo zakazów łączyli się w stadła, zaczęto pogardzać, bo tworzyli skarlałe potomstwo. Stąd pierwsze pojęcie o moralnem i niemoralnem, które powinniśmy pamiętać jaknajusilniej, ponieważ powinno być ono jedyną podstawą do pojęć o moralności na zawsze, bo podyktowała je natura sama. Więc:

Niemoralnym jest związek płciowy, dający potomstwo nędzne. Moralnym jest związek płciowy, dający potomstwo dzielne.

Wszelkie inne pojęcia o niemoralności i moralności ludzie potem zfabrykowali sztucznie, dla celów ubocznych, które poznamy za chwilę.

Te ograniczenia w stosunkach płciowych miały dla ludzkości skutki błogosławione, bo wytwarzały ludzi coraz doskonalszych fizycznie i duchowo i przyczyniły się głównie do podniesienia rodzaju ludzkiego na władcę świata.

Zaczęto więc przy wyborze płciowym uważać pilnie, czy strony nie są spokrewnione. Jeżeli byli rodzeństwem rodzonem lub ciotecznem, nie łączyli się z sobą. Stąd powstało uważanie na rodowód; a że w ustroju poligamicznym tylko matka jest wiadoma na pewno, bo ona rodzi dziecko, ojciec zaś nie jest nigdy wiadomym, wskutek stosunków kobiety z wieloma mężczyznami, więc rodowód szedł po matce właśnie, a co zatem idzie także i dziedziczenie dobytku. Ten zwyczaj nazwano prawem macierzystem, czyli matryacyatem. Dobytek każdego był w owych czasach bardzo nieznaczny, składał się zaledwo z garści myśliwskich przyborów, bo ludzie nic jeszcze nie posiadali, żyjąc z dnia na dzień z polowania. Zdobycze tego polowania były własnością gromadzką, wspólnie dostarczaną i wspólnie spożywaną.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Odpowiedzi redakcyi.

Bochnia. List podpisany: „Całe grono górników“ poszedł bez czytania do kosza, bo jest bez nazwisk. Gdybyście prawdę pisali — nie wstydzilibyście się stwierdzić ją swymi podpisami!

Towarzysze! Czytajcie prasę partyjną!

Robotnik, który zamiast pisma robotniczego prenumeruje organ wrogów robotników, popełnia duchowe samobójstwo, zbrodnię na własnych braciach, zdradę swojej klasy.

Wilhelm Liebknecht.

Abonujcie pisma robotnicze!



Żniwa w Galicyi po zgodzie „wielkich“ i „małych“ robotników, pod wodzą Stapińskiego.

Odpowiedzialny redaktor: Zygmunt Klemensiewicz.

Z Drukarni Ludowej w Krakowie, Filipa 11.